



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy

Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nwy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebta i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

ANTYGONA SOFOKLESA

(Studium)

przez El-y.

(Dalszy ciąg.)

Mityczna historia Edypa, wiążąca się z treścią Antygony, jest następująca:

Laios, syn Labdakosa, został ostrzeżony przez wyrocznie, że syn, który mu się narodzi, popełni w przyszłości ojcobójstwo i zaślubi własną matkę. Przerażony tem ostrzeżeniem Laios, zaraz po narodzeniu dziecięcia, kazał mu przebić i związać nogi i porzucić go w tym stanie na dzikich szczytach Kiteronu na pastwę dzikim zwierzętom. To nie powstrzymało jednak grożącego fatum — dziecko zostało uratowane i wychowane u obcych, nieświadome swego pochodzenia, nosząc nazwę Edypa od swych nóg skaleczonych. Młodzieńcem Edyp zawędrował przypadkiem do Teb i na drodze spotkał Laiosa, zaczepiony przez niego, w obronie swojej zadał mu cios śmiertelny, nie wiedząc z kim ma do czynienia. Ponieważ w dalszym ciągu Edyp uwolnił Teby od Sfinksa, co wszystkich wędrowców pożerał, wdzięczni Tebańczycy ogłosili go królem, skłoniwszy do ożenienia się z królewską wdową. Tym sposobem spełnił się wyrok przeznaczenia — i Edyp panował czas jakiś szczęśliwie — aż nagle straszne klęski spadają na cały kraj jako zapowiedź gniewu bogów. Pytane wyrocznie odpowiadają, że nieszczęścia mnożyć się będą, dopóki straszna zbrodnia nie zostanie odkryta i ukarana. Edyp postanawia dojść jej i osiągnąć winnego i na tem właśnie dochodzeniu przestępcy i odkryciu go we własnej osobie polega cała tragiczna groza Sofoklesowego Edypa króla. Edyp poznawszy swoją zbrodnię, wyrzeka się tronu, wydziera sobie oczy i przeklęwszy synów: Eteoklesa i Polinikesa,

którzy chcą utrzymać się przy władzy, udaje się w towarzystwie swej córki Antygony do Kolonos pod Atenami, gdzie w gaju poświęconym Erynniom, przebłagawszy mściwe bóstwa, śmierć szczęśliwą znajduje.

Tymczasem po śmierci Edypa, jego synowie Eteokles i Polinikes nie mogą zgodzić się z sobą co do podziału władzy, Polinikes opuszcza Teby i gotuje napad znany pod nazwiskiem *Wyprawy siedmiu przeciw Tebom*, będącej przedmiotem tak samo nazwanej tragedii Eschylusa.

Eteokles rządzi przy pomocy swojego wuja Kreona w Tebach, gdzie się również Antygona po śmierci ojca schroniła; wyprawa, prowadzona przez Polinikesa, przybywa miasto oblegać. Tu spełnia się przekleństwo ojcowskie na synach: Teby wychodzą z walki zwyciężko, ale obadwaj bracia, potykając się, zadają sobie jednocześnie cios śmiertelny i giną w tem podwójnem bratobójstwie. Po ich śmierci obejmuje władzę Kreon i z tą chwilą rozpoczyna się tragiczna ośnova Antygony.

Kreon oddawszy część pogrzebową zwłokom Eteokla, pozostawia na pobojuwisku nieopogrzebane ciało Polinika na pastwę drapieżnego ptactwa i zwierząt. W pojęciu swoim ma on za sobą prawo i słusność. Polinikes podburzył obcych przeciw Tebom, napadł z nimi zbrojnie swoją ojczyznę, był zdrajcą i świętokradcą, powinien więc być w miarę swych zbrodni ukaranym, nawet po śmierci tak, ażeby ta kara była odstrasżającym przykładem dla wszystkich obywateli w przyszłości. Przykładnego ukarania domagała się sprawiedliwość ludzka i dobro państwa zarazem. A jakąż mogła być skuteczniejsza kara dla zmarłego, nad pozbawienie go czci pogrzebu, pociągające za sobą, wedle ówczesnych pojęć, niezatartą hańbę na całe wieki? Była to śmierć druga, śmierć straszniejsza od pierwszej, dosięgająca nawet winowajcę w podziemnem państwie Hadesu, gdzie cień podobnie znieważony nie mógł się dostać do miejsc mu przeznaczonych, a tylko błąkać się musiał pomiędzy ziemią a ciemnym Acheronem, nie mogąc się dobić ostatniego umarłych spoczynku. Taką sprawiedliwość postanowił wymierzyć Kreon, sprawiedliwość

nieubłaganą, bezwzględną, obrażającą w skutkach swych opiekunów umarłych bóstwa i sprzeczną z poczuciem wyższych moralnych praw rządzących światem. Niedosć mu bowiem było w zasadzie odsadzić zwłoki Polinikesa od czci pogrzebu, ale zamierzył jeszcze zabezpieczyć swą wolę przed wszelką pokusą ludzkiego współczucia i litości, ogłaszając z góry wyrok śmierci na każdego, co by się ośmielił oddać Polinikesowi tę ostatnią przysługę i ustanawiając w tym celu straż nad zabitym.

Ta surowość Kreona, to nadużycie władzy i przeocenienie mądrości swoich sądów, budzi w Antygonie szlachetne oburzenie, napełnia ją zgrozą i boleścią i wywołuje w niej wewnętrzną moralną konieczność stawienia oporu wyrokowi władzy na mocy tych wiecznych uczuć, które bóstwa same wlały w serca ludzkie. Ona przecież nie może patrzeć obojętnie na to ostatnie nieszczęście i ostatnią zniewagę swego rodu, ona, nad którą klątwą rodzinnych win i nieszczęść ciężała od urodzenia, ona, co była świadkiem tragicznych losów matki i ojca, których bolesną pamięć odziedziczyła w jednej spuściźnie, ona, co podzieliła zarówno serce swoje pomiędzy obu wrogich sobie braci i których zgon straszliwy, przedwczesny, występny, zarówno teraz oplakuje! Pozostawszy na ruinach swego domu, musi stać jeszcze na straży jego czci i zasłonić ukochanych umarłych przed zniewagą upojonego zwycięstwem i wyniesieniem władcy. Antygona postanawia spełnić to, co uważa za swój obowiązek, a przekonana, że jedyną pozostałą jej siostrą, Ismeną, musi podzielać jej uczucia, zwierza się przed nią z postanowieniem pogrzebania zwłok brata, chcąc się podzielić z nią chwałą i zasługą tego przedsięwzięcia. Ale Ismena nie jest bohaterką; jest ona łagodną, szlachetną ale zarazem słabą i trwożliwą dziewczęciem, dla której wyrok Kreona posiada obowiązującą moc prawa. Boleje ona nad nowem nieszczęściem, które ród jej spotyka, ale mu przeciwdziałać nie jest w stanie. — Ówszem przestrzasza ją wszelka myśl oporu przeciw ustawom, z któremi słaba niewiasta walczyć nie powinna. Pragnie więc zachwiać postanowienie Antygony i powstrzymać ją od zuchwałego kroku, który tylko ściągając

na nią może ostateczną zgubę. To bierne zachowanie się, ta małoduszność Ismeny, jątrzy dumne a zranione serce Antygony. Jej nie chodziło o fizyczną pomoc, ale o współudział w szlachetnych uczuciach siostrzaney miłości, o moralne współuczestnictwo w wielkim, podniosłym czynie. Odrzuca więc wzgardliwie wszystkie uwagi siostry, wszystkie jej objawy serdeczności, ażeby, zamknawszy się w swej chwalebnej dumie i poświęceniu dla zmarłych, samej przystąpić do wykonania raz powziętej myśli.

Początkowo udaje się jej zmylić czujność straży i spełnić pobożne dzieło obmycia i zasypywania warstwą świeżego piasku nieszczęsnych zwłok brata. Straż przestraszona zawiadamia o tem swego władzę, który, gromiąc ją za niedozór, nakazuje obnażyć napowrót ciało zabitego i pod najsroższą odpowiedzialnością pochwycić sprawcę podobnego usiłowania. Biedna Antygona widzi pracę swoją zniweczoną i staje rozżalona nad tą zburzoną mogiłą, wybuchając boleścią, która samych nawet strażników do głębi porusza. Ale litość u nich ustąpić musi obawie kary i widząc jak Antygona obmywa zwłoki brata razem łzami i wodą z oliarnego dzbanka i zabiera się do odnowienia mogiły, chwytają bohaterką dziewczę i przyprowadzają przed Kreona.

Tu następuje starcie tych dwóch wprost przeciwnych sobie charakterów. W oczach Kreona postępek Antygony, będący zaprzeczeniem nieomyślności jego sądów, jest zbrodnią do niedarowania. Spodziewa się więc przynajmniej znaleźć ją skruszoną i drżącą przed majestatem swojej potęgi. Pewnym jest, że się zapierać będzie tego czynu lub też świadomości ogłoszonego wyroku. Tymczasem Antygona niczego się nie wypiera, i niezastraszona żadnymi groźbami występuje wręcz przeciw nieomyślności ludzkiego wyroku, powołując się na odwieczną sprawiedliwość niebios.

Takie wystąpienie Antygony zadaje powtórny cios obrażonej dumie zaślepiętego w swej mądrości Kreona. Gniew i namietność potęgują się u niego z każdym jej słowem i postanawia ostatecznie wykonać na niej wyrok śmierci, bez żadnego względu nawet na własnego syna Hemona, którego Antygona jest narzeczoną. W niemającym granic uniesieniu zamierza on rozciągnąć karę również i na Ismenę, za to jedynie, że ta ośmiela się bronić swej siostry i chce podzielać jej nieszczęście, przyjmuje na siebie połowę odpowiedzialności z czynu, w którym nie brała udziału. Każe więc odprowadzić obie dziewczę pod straż, zanim sam obmyśli dla nich rodzaj śmierci.

W tej stanowczej chwili zjawia się zawiadomiony o postanowieniu ojca Hemon, stając w obronie tej, którą kocha i którą posłubić pragnie. Znając charakter ojcowski, chce pokorą i synowską uległością rozbroić jego serce. Z największą ostrożnością, szanując wszystkie jego drażliwości, zaczyna gromadzić powody i rozumowania przemawiające za potępieniem. Ale cała jego zrećność na niewiele mu się przydaje. — Kreon ucieczony z początku myślą, że syn jego ślepo będzie mu posłusznym i poświęci bez wahania się na rozkaz ojca swoją narzeczoną, widząc w dalszym ciągu jak on z umiarkowaniem lecz stałością ośmiela się zbijać wszystkie jego twierdzenia, tem bardziej okazuje się niewzruszonym. Prawdy zawarte w słowach Hemona sprawiają na upartym starcu wprost przeciwny skutek: utrwalają go tylko w jego zaciętości i nienawiści dla tej Antygony, której niewieście wdzięki są źródłem nieposłuszeństwa syna. Rozmowa między ojcem a synem jątrzy się i napręża z każdą chwilą i kończy się obustronnym wybuchem i pogroźkami odchodzącego z rozpaczą Hemona.

Tu Kreon postanawia natychmiast przystąpić do wymierzenia kary, a uznając wreszcie zupełną niewinność Ismeny, rozkazuje samą tylko Antygone wywieść za miasto i na pustkowiu zamurować w jaskini, by tam powolną śmierć znalazła. Żołnierze wprowadzają Antygone i ta idąc na śmierć nieuchronną łez brylanty i śpiewane skargi rozsiewa po drodze. Przecudnie, prawdziwie po mistrzowski pomyślane jest i oddane całe to przejsie. Antygona była nieustraszoną bohaterką, u której straszne widmo śmierci nie nie zaważyło na szali postanowień, gdy chodziło o dopełnienie najświętszego obowiązku — pogrzebania zwłok brata.

Ale teraz, gdy bez żadnego ratunku ma poze-

gnąć na zawsze jasność słonecznych światów, niewieścia, miękka, dziewicza strona odzyskuje w niej swe prawa. Niema tam nienaturalnej, przesadnej pogardy śmierci, ale owszem wrodzona każdemu człowiekowi, a tem bardziej młodej dziewczę obawa smutnego zgonu i towarzyszący żal za życiem. Czuję ona i myśli po ludzku, wzywa litości i współczucia Greków i jak biedne dziecię, nieszczęsna sierota, rzewnie skarży się przed całym światem, że tak młodo, tak smutnie, bez słubnego wieńca, zstępować musi w otchłań grobową.

Z wyprowadzeniem na stracenie Antygony kończy się jedna faza tragedji przechodząc w drugą, skupiającą się około postaci samego Kreona. Zjawia się Teirezyasz, wieszczbiarz, przedstawiciel religijnych i moralnych uczuć. Ostrzegał on już poprzednio Kreona, że wyrokiem swoim obraził bóstwa i targnął się na święte przepisy zapisane w sercach wszystkich ludzi, a teraz przychodzi poraz ostatni wzywać go do upamiętania się i grozić mu karą niebios, namawia go do ocalenia od śmierci Antygony i pogrzebania zwłok Polinikesa.

Zaslepiiony Kreon uważa przestrogi Teirezysza za nieprawny zamach na swoje rządy. Obarcza więc wieszczbiarza zarzutami, oskarża go o chciwość władzy i pieniędzy, o umyślnie przysparzanie zawiązków. Dotknięty niesłusznie starzec odchodzi rzucając Kreonowi straszne prorocstwo, że niezadługo ujrzy na własne oczy nową ofiarę z własnej krwi i kości, co padnie za jego winy.

Wtedy dopiero nieugięty Kreon zaczyna chwiać się w swoim postanowieniu. Wie on tak samo jak cały lud, że Teirezysza przepowiednie nigdy nie zawiodły. — Przestach go ogarnia i nie wie co ma robić. Zasięga rady chóru i idąc za jego wskazówkami zgadza się choć niechętnie uleść konieczności. Wydaje rozkazy orszakowi, żeby natychmiast pogrzebać zwłoki zabitego a zarazem wydobyć Antygone z pieczary i sam w tem celu do niej się udaje. Niestety, spóźniona skrucha! — mściwe niebiosy spełniły już swe wyroki.

Przybywa niezadługo posłaniec przynosząc straszną opowieść chórowi. Z ust jego dowiaduje się nieszczęśliwa matka Hemona, Eurydyka o ciosie, jaki ją spotkał.

Kreon bowiem przybywając z swoim orszakiem do pieczary, w której żywcem pogrzebano Antygone, usłyszał z daleka żalospny głos syna. Miotany złowrogiem przecuciem dostaje się czem prędzej do wnętrza — i zastaje Antygone już bez życia zawieszoną na swojej zasłonie a u stóp jej obłąkanego miłością i rozpaczą Hemona, który się wstrząsa na widok ojca, zabójcy swej ukochanej. Daremnie Kreon chce go pocieszyć i uspokoić najtkliwszą prośbą — Hemon bezprzytomny, z dzikim obłędem w oczach, chwytając miecz i rzuca się przeciw ojcu. Ten się cofa przerażony a Hemon w oczach jego zatapia w swoim łonie żelazo i dobywając ostatki sił obejmuje ramieniem umarłą dziewczę i jej blade, martwe lica purpurą krwi swej rumieniać, przy umarłej bez życia pada.

Powraca na scenę Kreon z orszakiem niosącym zwłoki syna. Ale nie jest to już ten zaślepiiony w swej potędze i mądrości władca, tylko biedny, zgnębiony starzec, któremu boleść stworzyła oczy na szaleństwo ludzkiej samowoli. Strata jedynego syna nieprzewidziana poprzednio w chwili zaciętości i dumnego oporu przyćmiewającego ojcowskie uczucia, występuje teraz w całej grozie i obarcza go ciężarem krwi dobrowolnie na siebie ściągniętej. Dawniej nie było miejsca, w tem sercu dla tkliwszych uczuć, a teraz zwykłym zwrotem umysłu ludzkiego występują one wszystkie w obec okropnej rzeczywistości, która się już odstać nie może i szarpia nakształt mściwych fury pierś winowajcy. Kreon wybucha niepowstrzymaną boleścią: złorzeczy swemu niemądremu rozumowi i wylewa łzy nad synem którego jedynym zabójcą się mieni. Jego rozpacz, boleść, przerażenie potęgują się jeszcze, gdy mu dają znać, że Eurydyka jego żona a matka Hemona, odebrała sobie życie, krew swoją i syna rzucając mu na głowę i ostatnie posyłając przekleństwo.

Wtedy załamuje się w nim cały człowiek i zniweczony, zgnieciony każe się wyprowadzić precz chórowi — jako rozsypaną w proch ruinę, jako rzecz nieistniejącą, umarłą dla siebie i dla drugih.

Oto jest w głównych zarysach cała treść Sofoklesowej tragedji.

W treści tej spoczywa myśl niezmiernie doniosłości i ogólnie ludzkiego znaczenia, myśl wybiegająca po za granice jednej wyłącznej epoki i jednego szczególnego kraju i plemienia; sięga ona bowiem do nieskończonego nigdy sporu, który się toczy przez wszystkie wieki między poczuciem wyższych moralnych praw — a obowiązującymi współcześnie ustawami. Ten spór, ta walka trwa nieustannie w świecie znajdując coraz to nowych dla siebie przedstawicieli i przyczyniając się wśród ciągłych starć tragicznych, do ożywienia zastygłych form prawa, nowym duchem wznioślejszej moralności.

Na tem polega cały postęp, całe doskonalenie się społecznego prawodawstwa, które jak powstało z łona etycznych wyobrażeń, tak powinno się ciągle niemi posilkować i odnawiać, pod karą pozostania w sprzeczności z ludzką naturą i z własnym swoim celem. Lecz podobne przeobrażenie odbywa się nabyt powoli — i każda nowa idea moralna otrzymuje dopiero wtedy zupełne zwycięstwo, gdy znajdzie przysposobioną dla siebie szeroką podstawę ogólniejszego uznania, gdy stanie się jasną i odczułą przez większość.

Żąd to ci wszyscy, którzy, jak Antygona, wybiegną wewnętrznym uczuciem ponad sferę moralnych pojęć swego otoczenia, pomimo całej swej szlachetności i szczytności idei, którą piastują — uleść muszą, podobnie jak ona, smutnemu przeznaczeniu. Jest to naturalnem, koniecznem. Inaczej, gdyby nie było tej grozy tragicznych losów zawieszonych nad głowami wdzierających się na przepaści — wyżyny bohaterów, każda wówczas ruchliwsza jednostka gotowaby się uważać za wyższą nad obowiązujące prawa i czułaby się powołaną do narzucania światu swoich osobistych pojęć i przekonań. A wtedy żaden ustroj społeczny nie byłby możliwym.

Odpowiedzialność więc za wszelki zamach na istniejące urządzenia jest nieubłaganą koniecznością, utrzymującą równowagę społecznego życia. Dosięgnięte przez nią ofiary w sądzie współczesnych, mimo współczucia i sympaty — znajdują potępienie swej niewczesnej śmiałości. Takim jest przynajmniej w obec Antygony zachowanie się chóru, który w tragedjach greckich wyraża przeciętny, bezstronny sąd ogółu — a zarazem sąd samego autora. Chór bowiem lituje się nad nieszczęściem bohaterkiej dziewczę, otacza ją współczuciem, podziwia jej szlachetność i odwagę, ubolewa nawet nad nieludzką surowością Kreona, niemniej jednakże wypowiada swoje przekonanie, że Antygona winna jest przekroczenia praw i swem nieposłuszeństwem zasłużyła na karę. Ustawy Kreona w pojęciu chóru mogą być złe i bezbożne, Antygona wszakże powinna się do nich zastosować, a jeżeli na mocy szlachetniejszych pobudek przeciw nim występuje, musi się przygotować na śmierć, która tutaj jest logicznym następstwem.

Tych wrzekomych, tryumfatorów, co nadużywając władzy i zwycięstwa gotują sobie nieuchronny, zasłużony upadek, mamy uosobionych tutaj w postaci Kreona. Dzierżąc władzę w swych rękach jako twórca, stróż i wykonawca praw, nie uwzględnia on żadnej sprawiedliwości, żadnych innych moralnych uczuć, oprócz tych, które się opierają na jego uznaniu i nieomyślnej mądrości.

Najbardziej krzycząca niesprawiedliwość będzie w oczach jego rzeczą słuszną i godziwą, gdy tylko można ją oprzeć na gruncie prawa publicznego. Naprawdę staną przeciw niemu szlachetniejsze pobudki ludzkości, głos krwi, wola bogów, on gotów prawdę, cnotę i religię zarówno postawić pod pretekstem, oskarżając je o najwyższą zbrodnię, sprzeciwiania się jego widokom. Ale właśnie ten szalejący zapęd nie uznający nic nad sobą siły, sprowadzić musi prędzej czy później na głowę winowajcy odpowiednią przestępstwu karę.

Taką jest myśl przewodnia Sofoklesowej tragedji, myśl, która uderzyła szczytnością swoją współczesnych Ateńczyków.

(Dokończenie nastąpi).

ZARNICA

POWIEŚĆ BULGARSKA SPÓŁCZESNA

PRZEZ

Teod. Tom. Jeża.

(Dalszy ciąg).

XVII.

Mąż i żona.

Kula uderzyła o budę—tę przebiła, przeszła środkiem ponad głowami dwóch podróżnych w głębi siedzących, o parę cali z boku, mimo ucha prawego tego co miejsce z przodu zajmował, o parę cali z boku mimo ucha lewego woźnicy i schowała się pomiędzy uszy srokatego. Kierunek jej szedł z poza uszów do czoła. Czoło wewnętrzzną stroną swoją postawiło jej opór. Uwięzła w mózgu. Srokaty głową wstrząsnął, zrobił jeszcze kroków kilka i obwisnął na chomacie. Byłby na ziemię runął, gdyby nie uprząż turecka, która go podtrzymywała. Woźnica szarpnął lejcam, szturchnął biednego konia, już nieboszczyka kijem kilkakrotnie i ponaglał go do chodu:

— Ksz... ksz...

Napróżno jednak. Gniady ciągnął, srokaty nogami włożył. Turka to zdziwiło nieco. Jeszcze raz lejcam szarpnął, jeszcze raz szturchać kilka zaplikował, koniec końcem musiał stanąć, flegmatycznie z siedzenia zląkł, kamień pod koło podłożył i srokatego w oczy spojrzął.

— Hm—mruknął.

— Co tam?—zapytał go głos z budy.

— Nie—odpowiedział i jał się postronki odwiązywać.

Czynność ta wywołała z budy podróżnych. Wykroczył najprzód ów nieznajomy, co to się Maruk-bejem nazwał. Wysiadł po nim Stojan, po Stojanie doktor.

— E? o? zdechł?...

— Widzisz—odrzekł Turek spokojnie.

— Jakże się to stało?...

— Nijak.... Chyżmet....

— Ależ on z popasu zdrów wyszedł?...

— Zdrów....

— Jakże mógł zdechnąć?...

— Tak jak ty zdechniesz kiedyś....

Stojan i doktor dziwili się, lecz uwag żadnych nie czynili, pomimo, że wypadek, w rzeczy samej, zadziwiający był wielce. Ta śmierć nagle miała w sobie coś nadnaturalnego. Powód onej w oczy się nie rzucał, kula bowiem trafiła w tem miejscu, w którym kolumna westralna łączy się z czaszką a skórę porasta gęsta grzywa, przeto zamaskowała otwór i zatamowała odpływ krwi. Podejrzanie zaś wystrząsał nikomu na myśl nie przychodziło. Nikt go wyraźnie nie słyszał. Huk zagłuszył turkot kół i skrzyp osi, tak że chociaż i doszedł może do uszów czyich, nie mógł jednak ani uwagi zwrócić, ani też w pamięci pozostać.

— Osobliwy wypadek — odezwał się doktor spoglądając zdaleka na leżącego już na ziemi i z zaprzęży a krajejących ozdób rozbieranego konia.

— Warto się dowiedzieć o przyczynie śmierci—zauważył Maruk-bej.

— Trzebaby chyba sekcję zrobić — odparł doktor.

Stojan emoknął, westchnął i rzekł:

— Niedobra wróżba.

Doktor wytłumaczył szwagrowi, że wróżby tego rodzaju są wytworami imaginacji chorobliwej, do których człowiek umysłu trzeźwego znaczenia nie przywiązuje innego, jeno takie, na jakie one zasługują.

— Jakież, na przykład?...

— Szuka się przyczyn i znajduje się takowe...

Przyczyny nadają zjawiskom wszelkiego rodzaju znaczenie i określają następstwa....

Stojan przyjął to tłumaczenie za dobre, pomimo że do tego, ażeby je zrozumiał należycie, brakowało jeszcze wiele.

Dalszej podróży, która już zresztą niedługo trwać miała, Zarnica bowiem jak na dłoni rozrzucała się w całym malowniczym blasku swoim przed oczami podróżnych naszych, nie można było w harabie odbywać.

— Cóż tu stać wszyscy będziemy!...—odezwał się Stojan. Idźcie, ja zostanę, pomogę Turkowi wóz z góry sprowadzić i drogę mu w mieście pokażę.

Rada ta zanadto była zdrowa, ażeby jej posłuchać nie mieli doktor i Maruk-bej. Ten ostatni czynił wprowadzi objekcy niejakie, lecz zgodził się w końcu i z łaską w rękę puścił się za doktorem, który przodem poszedł, nie okazując przez to chęci wielkiej pozostawiania w towarzystwie jego.

— Doktorze!...

— He?... — odezwał się tenże, zaczepiony przez nieznajomego.

— Co to za widok piękny!...

Doktor na to nie.

— Nie darmo ja pociąg jakiś do Bulgarii czuję... Jaki to kraj cudny!... Nic podobnego nie widziałem pomimo, że znam wszystkie kraje.

Doktor na to nie.

— I naród mi się podoba. Bulgarzy...ho!... niech co chcą mówią, a ja powiadam, że nie znajdziesz drugiego takiego. Taki pracowity, pocziwy, rzetelny, gościnnie!...

Wyraz ostatni wymówił z naciskiem i powtórzył:

— Zwłaszcza gościnnie.

Doktor i na to nie.

Maruk-bej zachował przez czas jakiś milczenie i zapytał nagle:

— Gdzież mnie, doktorze ulokujesz?...

— Al... — odparł zapytany.

— Przywiozłeś mnie na moim wozie, więc zawieź do mego domu...—odezwał się Maruk-bej, pół żartem pół seryo.

— Wóz a dom, to dwie rzeczy różne.

— Nie... Seryo... Czy nie znajdziesz się tam kącik jaki, w którym mógłbym spokojnie przeleżeć, aż do zdrowia przyjdę?

Kącikby się znalazł. Doktor jednak, pamiętny przestrogi Anglika, starał się przez drogę przestudować nieco indywiduum i nie odkrył w niem nic takiego, coby dawało rękojmię moralnej onego wartości. Nie miał więc ochoty do domu go wpuszczać. Na zapytanie przeto, wręcz postawione, odpowiedział:

— Nie mieszkam w domu własnym.... Jestem w komornem u teścia, otoczonego liczną rodziną, wśród której pan i spokojubys nie miał i zaważabyś był....

— Chociażby gdzie, bodaj, pod szopą jaką, lub na strychu?

Naleganie to nie podobało się doktorowi. Odrzekł więc:

— Nie... nie sposób...

— Przecież będziesz mi kulę wyjmował, będziesz mnie leczył, muszę gdzieś leżeć.

— Znajdziesz w mehanie izdebkę osobną.

— Ależ ja nie posiadam pariczki ani jednej!

— Na to zaradziw.

To mówiąc, wydobył z kieszeni sakiewkę i dał mu sztuk kilka monety srebrnej, które Maruk-bej przyjął z wykrzyknikiem.

— Ah! moneta ta ręce mi parzy!.... Cóż począć jednak!...

— W mehanie będziesz miał pomieszkanie, wyżywienie i usługę tak długo, póki się nie wyleczysz.... co mi zabierze czasu wiele.

— A potem?

— Odzyskasz siłę do pracy i pomyślisz o sobie.

Nie było możliwe na powiedzenie to repliki, i Maruk-bej, spróbowałszy nadaremnie po razy kilka zawiązania rozmowy w innej materii, pochód dalszy odbywał w milczeniu.

O zmierzchu weszli na rynek. Doktor nie udał się do domu wprost, skreślił najprzód w ulicę, przy której mehana się znajdowała i towarzysza nieproszonego mehandżemu powierzył. Mehandżi, zoczywszy doktora, oczom własnym wierzyć nie chciał.

— Tyżeś to?

— Jak mnie widzisz, zdrów i cały....

— Cóż to było?

— I... nie... Nieporozumienie....

— Piękne mi nieporozumienie! Związali cię, sły-
szalem, jak barana.

— Człowiekowi wypadek na najgładszej zdarza się drodze.

— I to prawda.

Pomówiwszy z mehandżim słów kilka na stronie, udał się doktor wprost do domu.

A jeżeli mehandżi oczom własnym wierzyć nie chciał, to coż dopiero teść, teszcza, żona, szwagier, szwagrowa, Elenka, dzieci! Elenka, która go najpierwsza spotkała, krzyknęła i uciekła. Powstała wrzawa. Do wrzawy dołączył się płacz. Witano go, jakby powróconego ze świata tamtego i zarzucono na wstępie zapytań mnóstwem takim, że on na takowe, nie to odpowiedzieć, ale zrozumieć ich nie-mógł.

Ta burza radości przeminęła jednak. Wszystko przemija na świecie. Trwała atoli tak długo, aż Stojan z wozem nadciągnął i zniósłszy poduszki i materace, które odbyły p dróż tam i napowrót i wielce się przydały, w gronie rodziny się zjawił. Na powitanie Stojana nie było już wrzawy i płaczu. Przyjęto go spokojnie. W chwilę później rodzina zasiadła do wieczery, a po wieczery, sformowało się kółko takie samo, jakie dni temu cztery, spędzało wieczór w tej samej izbie.

„Nieszczęście przydatnem jest na coś,“ — powiada przysłowie.

Przydało się ono na to, że stworzyło chwil kilka rozkoszy prawdziwej.

Doktor rozповідаł tok całej sprawy, prowadząc opowiadanie w sposób taki, ażeby szczegóły bolesne ukryły się w cieniu, na jaw zaś występowały ustępy śmieszne.

Ol! jakże się śmiano szczerze z tego kapitana biednego, co wymaszerował, w kark biorąc!

Jakież wybuch radości wywołało opowiadanie o pakach, wniesionych uroczyscie do salonu audyencyonalnego Sefera-paszy!

Doktor przeplatał narażę uwagami i postrzeżeniami humorystycznymi, których nie zaniechał zastosować do znacznej osoby mister Williamsa Wayton, rozmawiającego ze Stojanem, w ten sposób, że jeden z nich był tego przekonania, iż mówi po bułgarsku, drugi, że po angielsku. Stojan próbował bronić się, przywoływał na świadectwo Bukareszt, to mu jednak nie nie pomogło, a uciechy nie umniejszono.

W roztargnieniu tem, w upojeniu o Kir-Michałakim zapomniano.

Wieczory podobne zdarzają się rzadko na tym naszym świecie podłonecznym, pomimo że nie figurował na nim żaden ze środków używanych do ekscytowania radości. Radość iskrzyła się sama przez się. Wywoływała ją obecność doktora, w połączeniu z tem, że grono rodzinne znajdowało się w komplecie. Nieczyje miejsce nie było próżnem; za nikim tęskną nie goniono myślą; tu stary ojciec i stara matka, do kół dzieci dorosłe, tam dziewczę na wydaniu, a tam wnuczeta małe, z których jedno spało, zrobiwszy sobie poduszkę z dziadkowego kolana.

Wieczory podobne upływają szybko i przedłużają się ponad zakres, jaki natura zakresła. I ten zbieg, niby minuta jedna — i byłby niezawodnie przeciągnął do rana, gdyby nie główny onego sprawca. Zazwyczaj stary Szumlański dawał hasło spoczynku. Tym razem atoli staremu ani przez myśl to nie przeszło. Wyrezył go doktor. Śród zajmującego opowiadania jakiegoś, spojrzął na zegarek, opowiadanie przerwał i odezwał się:

— Pora spać.

Elenka, Aleksandrowa, stara nawet zaprotestowały.

— Wola wasza, matko—odparł doktor, zwracając mowę do teszczy. Zdaniem mojem trzeba coś i na jutro zostawić. Co do mnie, usta zamykam i nie otworzę ich, jak na to tylko, ażeby wam dobranoc powiedzieć.

Zięcia poparł stary Szumlański i wkrótce potem tę wrzawę radosnej pełną izbę, zaległy cisza i ciemność. Rodzina rozeszła się, każdy do siebie.

W dniu następnym, w domu starego Szumlańskiego powrócił tryb życia taki, jakby nic nie zaszło. Doktor w aptecce przyjmował chorych, dawał konsultacje i preparował lekarstwa; doktorowa dzieci uczyła; reszta rodziny, w męskiej i niewieściej połowie swojej, zajęła się robotami powszednimi.

Około ósmej rano doktor, uzbroiwszy się w instrumenta potrzebne, udał się do mehanika.

Maruk-bej siedział w kawiarni, pełniący po mehanach miasteczkowych funkcję salonu spółnego, i fajkę palił. Rozprawiał o czemś, mając za słuchaczy Bulgarów kilku; zoczywszy jednak doktora, zamilkł i do niego się zwrócił.

— Cóż? i jakże?—było tego ostatniego zapytanie.

— No, nie... wszystko dobrze.

— Spałeś pan?...

— Jak sypiać zwykły człowiek, mający sumienie czyste....

— Wypocząłeś należycie?...

— Doskonale....

Doktor wziął go za puls, potrzymał przez chwilę i rzekł:

— Zrobimy operację....

— Hm... dobrze... ale... Czyby nie można na później trochę odłożyć?...

— Niema żadnej dobrej racji.

— Racy?... Czyż to zawsze o rację chodzić powinno?...

— Zdaje się.

— No.... A gdyby do jutra?...

Doktor możeby się na odłożenie i zgodził, gdyby pacjent ten wzbudzał w nim większą nieco ufność.

— Pan powinien sam o przyspieszenie naglić. Wszelkie złe usuwać się powinno jak najprędzej, kto bowiem odgadnąć może, co do jutra zajdzie... Może przyjdzie stan gorączkowy, lub niedyspozycja jakaś. Proszę pana.

— Doktorze... do jutra...— odezwał się Maruk-bej tonem prośby naiwnej.

— Ja jutro może czasu mieć nie będę. Przytem nie zwykłem odkładać. Jeżeli pan na seryo chcesz kuli z ciała się pozbyć, to proszę za mną.

Na takie *dictum acerbum*, pacjent wstał i poszedł za doktorem, który się natychmiast do dzieła zabrał. Ułożył Maruk-beja na pryczy i, nie pytając o pozwolenie, uspił go chloroformem. Uczynił to przez ostrożność, w niedowierzaniu heroicznego zbytnie chwalącego się rycerza. Następnie sondował, krajał zasypywał i przy pomocy samego mehandżego, którego ciekawość na pomocnika wykirowała, odbył operację całą jaknajpomysłniej, wkońcu pacjenta obandażował i obudził. Maruk-bej oczy otworzył.

— Ha?... co?...

— Oto kula — odrzekł doktor, podając mu takową. Schowaj ją pan sobie na pamiątkę i poleż spokojnie przez dni kilka. Będziesz zdrow i do pracy przydatny.

Maruk-bejowi wyraz „praca“ nie miło jakoś w uszach brzmiał. Skrzywił się i doktorowi podziękował, obiecując mu stosowanie się do przepisów jego.

— Będę odwiedzał pana codziennie, w godzinie porannej.

Słowami temi pożegnał go doktor i w rzeczy samej, przychodził dzień w dzień, przewijał, opatrywał, lekarstwa znosił i wydatki opłacał. Lekarze podobni rzadko się zdarzają pod słońcem. Maruk-bej dobrze trafił, to też do zdrowia powracał szybko. Gorączka, jaka się była w skutek operacji wywiązała, przemineła w dni kilka; osłabienie, jakie po gorączce nastąpiło, ustępowało i chory znalazł się niebawem w możności wstawania i wychodzenia. Najpierwszą rokonwalescyjną wyprawę zrobił do kawiarni, gdzie ciekawość oglądania człowieka, któremu kulę z ciała wyjęto, zgromadziła około niego ludzi gromadkę. Gromadka ta za drugim razem była większą, za trzecim jeszcze większą. Maruk-bej odegrywał rolę wielkiego człowieka. Rozprawiał, słuchano go z uwagą natężoną.

O czemże on rozprawiał?...

Zapytałyby raczej należało: o kim?—przedmiotem bowiem najpospolitszym rozpraw jego był Garibaldi. Prawił i o sobie więcej aniżeli o Garibaldi; nazwisko wszelako bohatera Włoch stanowiło oś główną, około której obracały się rozliczne relacje i wnioski, wiele dla słuchaczy zajmujące. Garibaldi jest postacią słuchaczom w Wschodzie, śród Słowian zwłaszcza, popularną. Maruk-bej, jak powiadał, znał go osobiście i pozostawał z nim w stosunkach przyjaźni ścisłej.

— Dał mi order mówić, pokazując zieloną wstążeczkę jakąś. O.... Zachowałem wstążeczkę tylko a order musiałem na pariczki przetopić, gdy mnie, grafa z rodu, Turcy łajdacy tak pięknie wykirowa-

li.... O! ale i im od Garibaldeggo się dostanie, jak się dostało Niemcom. Przyjdzie kolej i na nich. Garibaldi na świecie całym, w punkcie każdym, palce swoje trzyma.

— A o Bulgarach wie on co?—zagabnął ktoś nieśmiało.

— Jakżeby wiedzieć nie miał!.... O!... Ma on i na Bulgarii ludzi swoich.

Powiedzenie ostatnie tak było wyraźnem, że Bulgarzy biedni spoglądali na Maruk-beja, jak na przyszłego niemal zbawcę swego, szepotali pomiędzy sobą i coraz to większem kółkiem przybysza otaczali.

W kółku tem pojawiali się od czasu do czasu i Aleksander i Stojan. Ciekawość ściągnęła raz parę i starego Szumlańskiego. Wieczorami, w rodzinie Szumlańskich, bywała o tem mowa, która, rzecz naturalna, do żadnych nie doprowadzała konkluzji, dla braku podstaw odpowiednich. Cóż za konkluzję wyciągnąć było można z gadań Maruk-beja? Prawił, ludzie go słuchali, ośmielając się do niego coraz to bardziej, tak że w końcu rozprawianie jego solowe zmieniło się w rozmowę, w której udział brali rozumniejsi, wysuwając najrozumniejszych naprzd.

W ten sposób wysunął się Stojan.

— Ty—rzekł razu pewnego do przybysza. Ty, jak się zdaje, jeżelibyś Garibaldiemu słówko jakie powiedział, to onby cię posłuchał....

— Czyby posłuchał?... ba!...

— Rzeknijże mu słówko za nami.

— Hm... Rzeknij? Ja w Zarnicy a on... w Paryżu.

— Tobo napisać?

— Można by, ale cóż!... Napiszę: przybywaj!... on przybędzie i coś między nami znajdzie? Czy macie oręż?

— Niech oręż Garibaldi z sobą przyniesie.

— Dobrze... a pariczki?

— Alboż on nie ma!

— Dobrze.... a jeszcze pomiędzy nami porozumienie jakie?

— Jakżeby być nie miało! My się porozumiewamy.

— I staniem przy Garibaldi murem?

— Niech jeno przyjdzie z wojskiem, z orężem i z parieczkami....

Gdy Maruk-bej do zdrowia przyszedł zupełnie, doktor, odwiedzając go po raz ostatni, oświadczył mu, iż nie może nadal w mehanie za niego płacić.

— Ha! jak nie można, to nie można — była jego odpowiedź.

I opłacał wydatki własne sam, uwijając się pomiędzy Bulgarami, opowiadając im o Garibaldi i wyciągając ich na słówka, podobne do tych, z jakimi się Stojan wysłował. Dopytywał się szczególnie o to, kto tu jest w Zarnicy taki, coby o Garibaldi mógł gadać. Odpowiadano mu:

— Chyba Stojan jeden... Mógłby doktor, ten jednak po za doktorstwem swoim nie wie i wiedzieć nie chce o niczem.

— A Aleksander?

— I... W Bukareszcie nie był.

— A stary?

— Stary... może... Stary i Stojan, oto dwóch na Zarnicę całą, jednakże Stojan przydatniejszy, bo mówi wszystkimi językami ludzkimi, Garibaldi zaś chyba, że po bułgarsku nie rozbiara....

(Dalszy ciąg nastąpi).

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Lwów w marcu 1874.

Stowarzyszenie pracy kobiet.

Podobno któreś z pism waszych doniosło o zawiązaniu się u nas, we Lwowie, Stowarzyszenia pracy kobiet. O ile się dowiaduję, statut ułożony przez założycielki, z których najczynniejsze są panie: Boberska, Wekslerowa, Epstejnowa (żona poety Mikołaja) i Zofia Romanowiczówna, został już przez namiestniczość zatwierdzony, i na początkowe potrzeby towarzystwa drogą prywatną zebrano około 1000 złr. Spodziewam się, że nie weźmiecie mi za

złe, gdy w całości przytoczę statut, gdyż i sam kilku uwag nad nim poczynić zamierzam, a nadto pragnąłbym mocno, aby ze względu na pożytek sprawy ogólnej, szanowna redakcja poddała go ze swego stanowiska ścisłemu rozbirowi.

§ 1. Celem stowarzyszenia jest podniesienie wartości pracy kobiet i udoskonalenie takowej otwieraniem nowych dla niej zakresów, ze stanowiskiem i powołaniem kobiety zgodnych, wreszcie wzajemna pomoc stowarzyszonych.

§ 2. Do tego celu zmierza stowarzyszenie w miarę funduszy:

1) przez urządzenie kursów naukowych, jak kurs rachunkowości kupieckiej, telegraficznej, pocztowej, aptekarskiej i t. p., tudzież nauki rzemiosł, jak naprzykład: introligatorstwa, drzeworytnictwa, wyrobu sztucznych kwiatów, szycia białego i krawiectwa, szmuklerstwa, rękawicznictwa, szewstwa damskiego, fotografii, robót piłęczkowych z drzewa i t. p.; 2) przez urządzenie pracowni dla tych szczególnie rzemiosł, których nauka w stowarzyszeniu udzielaną będzie; 3) przez urządzenie czasowego albo stałego bazaru wyrobów kobiecych; 4) przez założenie biura wywiadowczego, które pośredniczy w wyszukaniu zatrudnień dla kobiet tak umysłowo jak ręcznie pracujących; 5) przez udzielanie zapomóg bezzwrotnych w razie słabości, tudzież zaliczek; 6) przez założenie biblioteki i czytelnicy dla użytku stowarzyszonych.

§ 4. Fundusze stowarzyszenia powstają: a) z wkładów założycieli, tudzież członków honorowych i zwyczajnych; b) z dochodu z bazaru i pracowni; c) z opłat do biura wywiadowczego; d) z opłat za naukę; e) z darów i zapisów; f) z korzystnego umieszczenia gotówki, tudzież z prowizji od zaliczek z funduszu zaliczkowego udzielanych; g) z dochodu z koncertów, odczytów, loterii fantowych, balów i t. p. na ten cel urządzanych.

§ 5. Członkowie stowarzyszenia dzielą się na: 1) założycieli, 2) członków honorowych i 3) członków zwyczajnych.

Założycielem staje się każdy, kto na fundusz stowarzyszenia przeznaczy jednorazowy datek w kwocie przynajmniej 200 złr. Nazwiska założycieli wypisane będą na tablicy wywieszanej w lokalnościach stowarzyszenia.

Członkiem honorowym staje się każdy, kto przez wydział wykonawczy w poczet członków honorowych przyjęty, zobowiąże się płacić rocznie w ratach przez członka oznaczonych kwotę 12 złr. na fundusz stowarzyszenia.

Członkiem zwyczajnym może być każda kobieta nienagannej sławy, najmniej 18 lat wieku licząca, która na przedstawienie trzech członków zwyczajnych lub honorowych, albo też założycieli przez wydział wykonawczy przyjęta zostanie.

§ 7. Członkowie zwyczajni są obowiązani składać miesięcznie 20 cent. na fundusz obrotowy i 5 centów na fundusz zapomogowy. Prócz tego mają członkowie zwyczajni obowiązek złożenia w funduszu zaliczkowym przynajmniej jednego udziału w wysokości 10 złr. Udział może być złożonym albo zaraz przy przystąpieniu do stowarzyszenia, albo w miesięcznych najniższym jednak 26 centów wynoszących ratach, albo też w ten sposób, że te, które korzystają czy to z pracowni, czy z bazaru stowarzyszenia mają składać 5 proc. swego tamże uzyskanego zarobku na udział w funduszu zaliczkowym póty, póki kwota w ten sposób zaoszczędzona nie dojdzie do 10 złr., poczem obowiązek dalszej spłaty do tego funduszu ustaje. Wolno jednak członkom zwyczajnym składać dalsze zaoszczędzenia w celu zebrania więcej jak jednego udziału. Złożony w ten sposób udział zostaje własnością składającej i przy wystąpieniu ze stowarzyszenia ma jej być zwróconym.

§ 9. Członkowie zwyczajni mają prawo żądania w razie słabości zapomogi tygodniowej, której wysokość oznaczy Rada Zawiadująca, albo opłaty taksy szpitalnej. Stowarzyszenie wypłaca chorym zapomogę tygodniową, albo opłaca za nie szpital najdłuższemu przez 8 tygodni.

§ 10. Zaliczki. Z funduszu zaliczkowego mogą być członkom zwyczajnym udzielane zaliczki zwrotne ratami w przeciągu roku na zakupno maszyny lub materyałów, na założenie pracowni i t. p. Zaliczka udzieloną być może albo na zastaw, albo za poręką dwóch członków zwyczajnych. Za udzieloną w ten sposób zaliczkę odpowiada w pierwszym rzędzie udział dłużniczki w funduszu zaliczkowym zło-

zony, następnie zaś udziały poręczycielek. Do zaliczek mają prawo tylko te osoby, które przynajmniej od pół roku do stowarzyszenia należą. Za udzieloną zaliczkę opłacać będzie dłużniczka po 6%.

§ 11. Bazar. Stowarzyszenie urządzi bazar, w którym sprzedawać będzie: a) wyroby swych własnych pracowni; b) wyroby członków stowarzyszenia; c) wyroby kobiet do stowarzyszenia nienależących brane w komis. Od wyrobów pod b) i c) wymienionych pobierać będzie stowarzyszenia komisowe, dla członków stowarzyszenia w niższej, dla obcych w wyższej kwocie. Członkowie tak honorowi jak zwyczajni mają prawo zakupna wyrobów z pracowni stowarzyszenia pochodzących o 5% taniej niż obcy.

§ 12. Nauka. Członkowie zwyczajni pobierają w stowarzyszeniu naukę bezpłatnie, obcy za opłatą. Każda uczennica stowarzyszenia odpowiadająca warunkom § 5 staje się tem samem zwyczajnym członkiem. W miarę wzrostu funduszu może stowarzyszenie opłacać naukę swych członków zwyczajnych w innych zakładach miejscowych lub zamiejscowych, przyczem jednak ma prawo zobowiązania w ten sposób zapomożonej do udzielania potem tej samej nauki w stowarzyszeniu przez pewien przeciąg czasu.

§ 13. Pracownie. Stowarzyszenie urządzi pracownie, w których według uzdolnienia mają być w pierwszym rzędzie zatrudnione osoby do stowarzyszenia należące. Każda jako stała pracownica do pracowni przyjęta, a warunkom § 5 odpowiadająca, staje się tem samem zwyczajnym członkiem. Płacą pracownice oznacza wydział wykonawczy.

§ 14. Siedziba i zarząd stowarzyszenia. Siedzibę stowarzyszenia jest miasto Lwów, a sprawami jego zarządza: a) walne zgromadzenie; b) rada nadzorcza i c) wydział wykonawczy.

§ 15. Walne zgromadzenie. Walne zgromadzenie zbiera się na wezwanie przewodniczącej zazwyczaj raz do roku, najpóźniej z końcem miesiąca lutego; ilekroć rada nadzorcza albo wydział wykonawczy to uchwala, albo też na żądanie przynajmniej 30 członków, czy to założycieli, czy honorowych lub zwyczajnych. Do ważności uchwał walnego zgromadzenia potrzeba obecności przynajmniej 50 członków i bezwzględnej większości głosów obecnych.

Czynności walnego zgromadzenia są następujące: 1) wysłuchuje sprawozdania komisji kontrolującej i postanowienia o udzieleniu lub odmówieniu absolutorium radzie zawiadowczej; 2) uchwała podwyższenie lub zniesienie miesięcznych wkładek członków zwyczajnych; 3) uchwała na wniosek rady zawiadowczej zmianę statutów, która to uchwała jednak zapaść musi większością $\frac{2}{3}$ części głosów obecnych; 4) uchwała instrukcje dla rady zawiadowczej; 5) wybiera komisję kontrolującą z 3ch członków złożoną do sprawdzenia rachunków i sprawozdania rady zawiadowczej i wydziału wykonawczego na rok przyszły i poczynienia w tym względzie wniosków przysłanemu walnemu zgromadzeniu; 6) uchwała budżet stowarzyszenia na rok przyszły; 7) postanawia na wniosek rady zawiadowczej co do rozdziału nadwyżek dochodów z roku ubiegłego; 8) uchwała na wniosek rady zawiadowczej zakupno realności na pomieszczenie zakładów stowarzyszenia; 9) uchwała rozwiązanie stowarzyszenia i przeznaczanie pozostałych po likwidacji funduszy; uchwała taka, aby była prawomocną, zapaść musi na umyślnie w tym celu zwołanem zgromadzeniu, w obecności $\frac{3}{4}$ członków stowarzyszenia (licząc w to razem honorowych i zwyczajnych) a większością $\frac{2}{3}$ głosów.

§ 16. Rada zawiadowcza. Rada zawiadowcza składa się z 20 członków, z których 10 wybierają na osobnym zgromadzeniu członkowie honorowi ze swego grona, 10 zaś członkowie zwyczajni na osobnym zgromadzeniu ze swego grona. Wybory te nastąpić mają przed walnem zgromadzeniem stowarzyszenia a rozpisane będą przez wydział wykonawczy. Członkowie rady zawiadowczej wybrani będą na dwa lata w ten sposób, iż po pierwszym roku istnienia stowarzyszenia występuje z rady zawiadowczej 5 członków honorowych i 5 członków zwyczajnych przez losowanie, a następnie występują ci, którzy w poprzednim roku nie występowali, a na ich miejsce mają być nowe wybory uskutecznione. Występujący mogą być ponownie wybrani.

Czynności rady zawiadowczej są następujące: a) wybiera ze swego grona przewodniczącą i jej zastępcę

na dwa lata; b) wybiera ze swego grona na dwa lata sekretarkę i cztery dyrektorki; które wraz z przewodniczącą tworzą wydział wykonawczy; c) uchwała instrukcje dla wydziału wykonawczego, tudzież regulamina nauk, pracowni, bazaru, biura wydawniczego, biblioteki i czytelnicy; d) oznacza na wniosek wydziału wykonawczego wysokość opłaty za naukę, komisowego, tudzież prowizji od posad przez biuro wydawnicze udzielanych; e) przyjmuje i oddala na wniosek wydziału wykonawczego stałych nauczycieli, tudzież urzędników stowarzyszenia i ustanawia etat ich płac; f) uchwała na wniosek wydziału wykonawczego otwarcie nowych gałęzi nauk, tudzież pracowni; g) uchwała ostatecznie wynajęcie lokalności, jakich stowarzyszenie na biuro, pracownie, czytelnicy i naukę będzie potrzebować; h) uchwała o wykluczeniu członków; i) sprawdza rachunki przez wydział wykonawczy przełożone, uskutecznia peryodyczne albo i niespodziewane skontrola (obliczenia) kary przez członków do tego delegowanych; k) uchwała o zasileniu funduszu zaliczkowego z innych funduszy; l) przygotowuje wszystkie wnioski do walnego zgromadzenia; m) rozstrzyga wszelkie zażalenia przeciw uchwałom wydziału wykonawczego.

Rada zawiadowcza zbiera się na zwyczajne zgromadzenie raz na miesiąc, na nadzwyczajne zaś za uchwałą wydziału wykonawczego. Do ważności uchwał rady zawiadowczej potrzeba jest obecności przewodniczącej lub jej zastępczyni i przynajmniej 11 członków rady zawiadowczej. Uchwały wszelkie i wybory zapadają bezwzględną większością głosów, w razie równości rozstrzyga przewodnicząca.

§ 17. Wydział wykonawczy. Wydział wykonawczy składa się z przewodniczącej lub jej zastępczyni, sekretarki i czterech dyrektorek. Odbywa posiedzenia w regularnych terminach na zaproszenie przewodniczącej. Do ważności uchwał potrzeba jest obecności przewodniczącej lub jej zastępczyni i przynajmniej 3ch członków, tudzież bezwzględna większość głosów obecnych. W razie równości głosów rozstrzyga przewodnicząca.

Wydział wykonawczy: a) prowadzi bezpośredni zarząd spraw stowarzyszenia i jego majątku, na podstawie budżetów i innych uchwał walnego zgromadzenia, tudzież instrukcji i innych uchwał rady zawiadowczej; b) zdaje sprawę rady zawiadowczej ze swych czynności; c) zaprasza członków honorowych, uchwała o przyjęciu zwyczajnych, tudzież o wykreśleniu z powodu niepłacenia miesięcznych wkładek; d) przyjmuje i oddala pracownice z pracowni stowarzyszenia; e) przyjmuje i oddala sługi i czyni radzie zawiadowczej wnioski do przyjęcia lub oddalenia urzędników stowarzyszenia; f) uchwała wysokość zarobku dla pracowni i wysokość ceny wyrobów w bazarze sprzedawanych; g) prowadzi bezpośredni nadzór nad nauką, pracowniami, bazarem, biurem wydawniczym, biblioteką i czytelnicy przez dyrektorki, które te czynności między siebie rozdzielają; h) uchwała o udzielaniu zapomóg i funduszu pomocowego, zaliczek z funduszu zaliczkowego i czuwa nad utrzymaniem tego funduszu w całości; i) układa roczne rachunki i przekłada je radzie zawiadowczej, a następnie komisji kontrolującej; k) stara się o korzystne umieszczenie gotówki stowarzyszenia tak, aby tylko na najbliższe wydatki potrzebna kwota znajdowała się w kasie towarzystwa; l) rozstrzyga we wszystkich sprawach uchwałami rady zawiadowczej lub walnego zgromadzenia niezastępowanych, a przygotowuje wszystkie wnioski do rady zawiadowczej.

§ 22. Spory. Wszelkie spory ze stosunku stowarzyszenia, czy to pomiędzy członkami jego, czy też między zarządem a członkami wynikające mogące, rozstrzyga sąd polubowny, do którego jedna ze stron spornych jednego, druga drugiego sędziego z grona członków stowarzyszenia wybiera, ci dwaj zaś wybierają nadsędziego. Gdyby która ze stron spornych w przeciągu dni 14 od zawezwania sądu sędzi nie wybrała, albo gdyby wybrany sędzia urzędu nie przyjął lub później z sądu się usunął, a strona na jego miejsce w przeciągu dni ośmiu nie wybrała zastępcy, w takim razie rada zawiadowcza oznacza sędziego. Jeżeli sędziowie nie mogli się zgodzić na wybór nadsędziego, rozstrzyga los między przedstawionymi kandydatami. Jeżeli się obaj sędziowie na wyrok nie zgodzili, rozstrzyga nadsędzia w ten sposób, iż może się albo przychylić do zdania jednego z sędziów, albo wydać wyrok od zdania obu sędziów odmienny. Sąd ten mocen jest wydać wyrok bez przestrzegania formalności prawnych ustawami przepisanych, a wyrok jego jest nieodwołalny i strony nie mają prawa odwoływać się do jakiegokolwiek innego sądu.

Oto jest cały statut, z wyjątkiem mniej ważnych ustępów. Przyznać należy, że ze wszystkich statutów ułożonych u nas dla stowarzyszeń pracy kobiet, które w rozmaitym czasie po rozmaitych pismach ogłaszano, obecny najbardziej zadowolnić może. Widać jest, że został ułożony w miarę, które z największego ruchu stowarzyszeń słynie. Porównując go atoli ze statutami napisanymi dla innych stowarzyszeń, w których kobiety aczkolwiek mogą być członkami, zawsze przypuszczalną jest jednak znaczna przewaga męskiego żywiołu, spostrzegamy pewne ważne modyfikacje, czyniące bardziej bezwłasnowolnemi członków. Rada zawiadowcza, która widocznie przez pomyłkę w jednym miejscu nadzorczą została nazwana, w żadnem stowarzyszeniu nie ma takiej władzy, jaką posiada w nowozawianem. Nadto w innych stowarzyszeniach wybór rady zawiadowczej należy do walnego zgromadzenia; tu zaś, w chęci dania przewagi członkom honorowym, połowę członków (10) rady zawiadowczej wybierają członkowie zwyczajni ze swego grona na osobnym zgromadzeniu, drugą zaś połowę również ze swego grona członkowie honorowi. Już to w ogóle bez tego opiekuńczego żywiołu, w obecnym wypadku wstydliwie członkami honorowemi, a gdzieindziej otwarcie dobrodziejami nazywanego, większa część naszych stowarzyszeń obejść się nie może. Tymczasem przymieszka tu dobrodziejstwa osłabia poczucie samodzielności w stowarzyszonych, którzy mniej we własne siły zbiorowe, aniżeli w pomoc możnych przyzwyczajają się ufać, a nadto całemu stowarzyszeniu nadając pewną cechę dobroczynnej instytucji, odstręcza od niego osoby z drażliwym poczuciem godności własnej, które najczęściej przykładnemi członkami we wszelkich towarzystwach bywają.

Pewna arbitralność rady zawiadowczej przegląda najbardziej w ustępie dotyczącym wykluczenia członków ze stowarzyszenia. Ustęp ten opiewa dosłownie: (z § 8), Osoby umyślnie działające wbrew interesom stowarzyszenia, albo takie, któreby nagannem postępowaniem swem szacunek stowarzyszonych utraciły, albo wreszcie te, któreby nie zwracały rat zaciągniętej pożyczki i dały powód do kroków sądowych przeciw sobie, mają być ze stowarzyszenia za uchwałą rady zawiadowczej wykluczone. Żadnej apelacji statut nie dopuszcza. Uchwała zaś rady zawiadowczej może być powzięta większością sześciu głosów przeciwko pięciu. We wszystkich zaś innych stowarzyszeniach członkowi wykluczonemu przez radę zawiadowczą służy jeszcze prawo odwołania się do walnego zgromadzenia. Nie jest to rzecz małej wagi, zwłaszcza, że wykluczenie ze stowarzyszenia gorzej szkodzi w opinii kobiecie, aniżeli mężczyźnie.

Uważałbym nawet, że w wypadku, jeżeliby zaśadła potrzeba wykluczyć ze stowarzyszenia osobę, która nagannem postępowaniem swem szacunek stowarzyszonych utraciła, słusznem by było ze wszech miar, ażeby oskarżona mogła zażądać sądu polubownego dla rozpatrzenia całej sprawy.

Organizacja sądu polubownego, jak ją rzeczony statut przedstawia, częste niezadowolnienia wywoływać może. Przeglądanie jednej osoby nie daje skarżącemu się moralnego przekonania, że względem niej powodowano się słusnością. Względ ten przeważa w statutach innych stowarzyszeń. W stowarzyszeniu wzajemnej pomocy artystów sceny polskiej, do którego należą i literaci, strona powodowa ma prawo wybrać do sądu polubownego od 1 do 3 sędziów. Ona więc właściwie sama wskazuje, jaka liczba sędziów zdoła wpłynąć na moralne jej przekonanie.

Podniesiono zarzut i, podług mnie, słuszny, że statut pozwala dopiero 18 lat liczącym kobietom przystępować do stowarzyszenia. Towarzystwo zaliczkowe, zajmujące się wyłącznie sprawami pieniężnymi i rozciągające nieograniczoną odpowiedzialność na członków za wypełnienie swych zobowiązań, nie wgląda jednak w metrykę przystępujących, a powiada krótko, że przyjętym może być każdy, mający prawo rozporządzania sobą.

Jeszcze mógłbym wytknąć kilka szczegółów, które nie godzą się z mem przekonaniem. Pomimo tego

jednak najzupełniej uznaje, że stowarzyszenie pracy kobiet, przy szczerem poparciu, które w każdym razie mu się należy, wielką wyświadczy przysługę naszemu społeczeństwu. ¹⁾

B. L.

KOBIETA

I WYMIAR KARY W SPOŁECZENSTWIE.

(Dalszy ciąg).

Poznaliśmy już zatem historyczny rozwój idei prawa karnego i składowe jej pojęcia. Jeżeli takie jest znaczenie kary w społeczeństwie dzisiejszym, czyż nie nasuwa się jako bijąca w oczy prawda wielkie postannictwo, jakie tu do spełnienia przypada kobiecie! Czyż być może w istocie, ażeby w zadaniu więziennym, w tej walce z ciemnotą i zepsuciem, z zawiścią i obłudą — w walce, w której orężem miłość i religia, kobieta udziału nie miała żadnego! Czyż potrzebuje silić się na argumenta, aby przekonać, że w dziele w którym na miejscu fizycznych udręczeń i srożej zemsty stanęła myśl poprawy i przebaczenia — że w dziele takim kobieta powinna pewne zajmując miejsce, powiem więcej, że się wprost bez niej obejść nie można!

Szukajmy w spełnionych faktach bliższych dowodów, o ile kobieta takiemu zadaniu podołać może. Już w XV wieku powstają szczególnie w Włoszech na podstawie religijnej rozmaite stowarzyszenia dobroczynne. W 1488 r. założono we Florencji bractwo dobroczynności dla przygotowywania na śmierć i pocieszenia zbrodniarzy; a w 1488 r. takie samo bractwo powstało w Rzymie i szeroko rozwinęło swoją działalność. W 1588 r. czysto kobiece stowarzyszenie powstało w Turynie a następnie w Lyonie pod nazwą *Confrairie de la misericorde*. Z postępem czasu stowarzyszenia takie rozmnożyły się we Włoszech, Francji i Portugalii; najgłośniejszym z nich było *Arcybractwo Miłosierdzia* odnowione w Turynie w 1821 r. a założone w Genui w 3 lata później. W nowszych czasach stowarzyszenia dobroczynne zajmowały się nie tylko skazanymi na śmierć, ale nadto udzielały pomocy religijną i materjalną wszystkim uwięzionym. Taka pomocnicza działalność wolnych stowarzyszeń z udziałem kobiety w celach opieki nad przestępcami i ich poprawy rozwinęła się najsilniej w Anglii wraz z danym hasłem pod koniec zeszłego wieku do radykalnych reform więziennych przez trzech znakomych mężów: Johna Howarda, Williama Bleackstona i Hieronima Benthama. Na czele tego ruchu stoi *Brytańskie stowarzyszenie kobiet dla poprawy uwięzionych płci żeńskiej* założone przez Elżbietę Fry z domu Gurney.

Szanowni słuchacze! Elżbieta Fry jest osobistością tak znamienitą a jej działalność tak pouczającą, że mi wybaczyć raczycie, iż zamiast składania jałowych hołdów zajmę przez chwilę waszą uwagę treściwym przedstawieniem jej prac. Przejęta opisem stanu więzienia w Newgate, zaczęła ta dama należąca do sekty kwakrów w 1813 r. po raz pierwszy je zwiedzać. Znajdowało się tam około 300 kobiet skazanych i obwinionych z rozmaitą skalą wykształcenia i zepsucia, mieszcących się razem z licznym gronem dzieci; razem sypiały i prawie, że na gołej ziemi; kłótnie, przekleństwa, przerażające niechlujstwo i przerażająca woń — wszystko się tam mieściło. Stan moralny uwięzionych był taki, że gdy raz umarło dziecko, dwie z tych kobiet dobijających się o szczątki jego odzienia, z oburzającą zaciętością szarpały trupa między sobą; nadzorca więzienia z obawą wkraczał do tego przybytku ostatecznego wyuzdania i kiedy panią Fry wprowadzał, ostrzegał, ażeby schowała zegarek z obawy, aby uwięzione jej go nie porwały. Przejęta litością na widok takiego upadku ta kobieta wielkiego serca, gdy w kilka lat później stanowiąc rodzinne pozwoliło jej oddać się całkowicie wypielastowanej myśli, wróciła do Newgate i zażądała

ażeby ją samą przez jakiś czas pozostawiono w więzieniu. Tu przełamując ogromne trudności potrafiła rozbudzić w zbrodniarkach niezatraczone jeszcze dobre skłonności; tyle dokazała, że odwołanie się jej do poczucia macierzyńskiego tych z uwięzionych, które miały dzieci przy sobie, nie pozostało bez skutku; myśl założenia szkółki została przyjęta jednogłośnie nawet przez najbardziej zepsute; na wezwanie pani Fry wybrano z grona uwięzionych na nadzorczynią kobietę młodą i najmniej zepsutą. To stało się podstawą wielkiego przewrotu. Władze więzienne przypatrujące się z niedowierzaniem usiłowaniom reformatorki potwierdziły jednak, lubo niechętnie wszystkie jej przedsięwzięcia. Wypalano miejsce na szkółkę; pani Fry z przybraną pomocniczką rozpoczęła lekcje; skutek przeszedł wszelkie oczekiwanie; do szkółki oprócz dzieci cisnęły się wszystkie młodsze zbrodniarki, które ze zdumiewającym zapałem do nauki brać się zaczęły.

Do pani Fry przyłączyły się inne damy tą samą powodowane myślą; szczęśliwe próby wywołały założenie pracowni i czytelnicy dla winowajczyń starszych wyłączonych ze spółki. „To przedsięwzięcie, opisuje dalej pan Aleksander Moldenhawer w pięknym i zajmującym swoim dziele *O przeprowadzeniu odosobnienia w zakładach więziennych* (część pierwsza dopisek 13) — to przedsięwzięcie zdawało się tak trudnem, niepodobnem nawet, że mający doświadczenie i znający więzienia, odradzali je szlachetnym marzycielkom twierdząc że wszelka robota zginie raz dostawszy się do więzień, choćby wśród najpilniejszej uwagi i strzeżenia. Przełożony i kapelan więzienny sądzili sami, że wyćwiczone i biegłe w rzemiośle kradzieży zepsute złodziejki Londynu choć się i początkowo poddają pracy i pohamują na chwilę złe namiętności, to jednak nie na długo i że potem one zwiększą wybuchną siłą. Śród podobnych przepowiedni zniechęciłby się może każdy inny, ale nie pani Fry z koleżankami. Wywołałszy do życia z poświęconych adeptek sekty kwakrów osobne ciało, małe grono z 12 kobiet złożone, jako nauczycielki robót, takowe wprowadzała pani Fry z innemi w koło uwięzionych. Nowe stowarzyszenie całe dnie spędzało w zakładzie to pracując ze zbrodniarkami, to je nauczając; a gdy próby szczęśliwie się udały, zarząd więzienny je zatwierdził i przyszedł im w pomoc... przełożona i kapelan domu poprawy w Milbank zaświadcza, że te z uwięzionych, jakie im dla wykonania wyroku z Newgate przesyłano, daleko są posłuszniesze i przywoitsze, aniżeli z jakiegokolwiek innego więzienia. Jedną z nich, której pan Bugston w Milbank przypomniał imię pewnej damy z Newgatskiego stowarzyszenia kobiet, odpowiedziała mu: „Niech ją Bóg błogosławi i dzień w którym przybyłam do Newgate, ona wszystkim nam zrobiła dobrze i my tak obecnie, jak przez całą wieczność powinniśmy ją uwielbiać“... Wypuszczone kobiety po wysiedzeniu kary w Newgate, takiego w niem nabierały przywyknienia do pilności i porządku, że przy wewnętrznym spokoju, stały się błogosławieństwem swoich krewnych, którym powrócone zostały. Uderzający dowód rzeczywiście trwałej poprawy uwięzionych kobiet w Newgate wykazuje się i z tego, kończy pan Moldenhawer, że liczba powtórnie ukaranych i tamże uwięzionych zbrodniarek zmniejszyła się, od chwili pojawienia się kobiecego stowarzyszenia o 40 procent... „Takie zbawienie i ze wszech miar na głęboką uwagę zasługujące skutki dobroczynnego towarzystwa niewiast w Newgate musiały wywołać naśladownictwo, tak że dziś nie tylko w Anglii ale we wszystkich prawie krajach Europy mnożą się podobne związki.

Nie będę wam szanowni słuchacze, opisywał innych prac Elżbiety Fry, która badając system zsyłania do Australii zwiedzała okręty, dawała wszędzie pochoch do ulepszeń i zawiązała: „*Towarzystwo opieki nad zesłanymi*“; nie będę się rozwodził jakim sposobem dobiły się zaszczytnej sławy na tem polu filantropijnem, inne niewieście osobistości w Anglii jak panie Chisholm, Ré, Carpenter i Nithingale; nie mogę wchodzić w dokonywane się prace tego rodzaju w innych narodach, które na szczególniejszą zasługowałyby uwagę i nam za przykład służyćby mogły, jak oto, że wspomnę z celem obecnego zebrania tak ściśle związane, istniejące w Belgii pod prezydencją królowej stowarzyszenie dam, mające na celu opiekę nad małoletnimi przestępcami płci żeńskiej umieszczonymi w Kolonii Berneen; — nie mogę także

zaznaczać wszystkich objawów pomyslnego wpływu kobiety, w duchu prawdziwie postępowym na prawodawstwo karne, takich na przykład jak zaszyły niedawno we Włoszech fakt, że kilkadziesiąt dam podpisało petycję do króla Wiktora Emanuela o zniesienie kary śmierci; — muszę z żalem dla braku czasu pominąć to wszystko, bo mi pilno zwrócić się w nasze strony rodzinne, gdzie ze smutkiem powiedzieć trzeba, że zadanie opieki nad przestępcami stoi nie- tknięte.

Nie podlega wątpliwości, że stowarzyszenia dam w celu rozciągnięcia nad więźniami materjalnej i moralnej opieki, pozyskałoby łatwo uprzywilejowane stanowisko, — bo dziś z chlubą powiedzieć możemy o naszym wieku — każda filantropijna myśl che- tny wszędzie znajduje posłuch. Damy należące do stowarzyszenia pozyskałyby wstęp do więzienia, możność bliższego zapoznania się ze sposobem myślenia, ze skłonnościami uwięzionych, ich moralnemi i umysłowemi potrzebami. Dzieliłyby tę pracę między siebie odpowiednio do zakresu rozwijającej się działalności tak, aby każdy i każda z uwięzionych mieli swoją opiekunkę służącą im za łącznik niejako ze światem zewnętrznym, z porzuconemi rodzinami i zerwanemi stosunkami; opiekunkę, któraby podtrzymując pragnienie wydobyć się z więzienia wskazywała i ułatwiała drogę poprawy i nieobłudnego powrotu do cnoty; — opiekunkę, któraby wreszcie miała głos stanowczy w opiniowaniu łącznie z dyrektorem więzienia i delegatem sądowym o mających się przedsiębrać środkach działania, o mogących się dopuścić ulgach, a w końcu i o zupełnem uwolnieniu.

Wprowadzenie żywiołu niewieściego w zakresie tak szerokim i z takim znaczeniem do tej obywatelskiej posługi wydać się może niesłychaniem i niejedną zapewne wywoła opór; jednakże opór ten ustąpić powinien, bo nie ma za sobą ani względów praktycznych ani słuszności.

Zpożytkować trudy, serce i myśl kobiety w pokutniczym zadaniu poprawy, — wyczerpać wszystkie jej duchowe zasoby cierpliwości, abnegacji i miłosierdzia; — wprowadzić ją do więzienia jako pocieszycielkę złamanych dusz, dawczynię hojnych zasiłków lub pokorną pomocnicę w najposledniejszych usługach — toby uszło jeszcze; i gdybym się był roztropnie na tem ograniczył, możebym otrzymał poparcie. Przyznano mi bez trudności, że do takiej pracy kobieta jest uzdolniona i że w łonie każdego społeczeństwa istnieje dosyć znaczny procent kobiet wolnych od obowiązków rodzinnych dla tego, że w nie jeszcze nie wstąpiły, lub że już z nich wyszły, któreby mogły temu zadosyć uczynić. Ale gdy żądam dla niej udziału w postanowieniach mających rozstrzygać o kierunku, środkach i celach pracy, do której ją powołujemy; — gdy przez szacunek dla jej moralnej samodzielności pragnę, ażeby nie kępowało formalizmem ofiarniczego czynu duszy podniosłej, który jako taki dopełniać się winien samoistnie, wedle jej własnego poglądu i na własną odpowiedzialność; — gdy w nagrodę poniesionego trudu, jako zachętę do wytrwałości i uwięzienie wszystkich umoralniających środków, upominam się dla niej o głos z prawem obowiązującego posłuchu, dla odezwania się do społeczeństwa ze swoim żądaniem, z przedstawieniem swojej myśli, a wreszcie z ostatecznym sprawozdaniem o swych usiłowaniach, ażeby z nich właściwy owoc osiągnąć; — gdy ośmielam się twierdzić, że o kobiecie bez niej stanowić się nie powinno — bo to prowadzi do ucisku; że obok pracy powinna stać samodzielność bez której tamta jest wyzyskiwaniem; że obok obowiązków powinno być prawo, bez którego tamten jest bezpłodnym; że obok wymagania świecić musi zasługa bez której tamto jest niesłusznem; — słowem, gdy przyznaję kobiecie — a proszę nie zapominać, że to się odnosi do najgodniejszych z pomiędzy nich — gdy przyznaję jej co się należy każdej istocie ludzkiej, choćby najposledniejszej z poslednich — słyszę zbliżającą się naganę i widzę wysuwającą się na plac boju stereotypową formułkę: kobieta ma być żoną i matką, a nie brać udziału w czynnościach publicznego życia!

Ze strony przenikliwszych umysłów przewidzieć można inny zarzut. Kobieta, powiedzą, jest istotą wrażliwą, uczuciową — w sądach swoich objawia stronnosć, powierzchownosć, uwodzi się sympatją i antypatją — w czynach jest popędliwą, nierozważną i gwałtowną; więc można korzystać z przymiotów jej serca, lecz nie można jej dozwalać w naj-

¹⁾ Redakcyja zachowuje dla siebie możność ocenienia ustawy, nie kępując się zdaniem Sz. Korespondenta.

(Przyp. Redakcyi).

mniejszej mierze wpływania na karność więzienną, a tem mniej na umarzanie kary; z taką władzą w ręku kobieta wprowadzi rozprzężenie i nieład. Sympatyczne dla niej osobistości—złośliwi powiedzą „przystojne”—będą miały zawsze w jej oczach pierwszeństwo przed twarzami wstrętnymi.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Miłość młodzieńcza—komedia w I-m akcie Willbranda. — Na ulicy obrazek sceniczny w I akcie Wacława Szymanowskiego.

Komedję p. Willbranda uważamy za prawdziwy klejnot, i o takie prosimy gorąco Reżyserję. Przy tej sposobności dałoby się istotnie zrobić ciekawe porównanie pomiędzy utworami niemieckimi i polskimi z jednej, a francuzkimi z drugiej strony. W komediach francuzkich, zwłaszcza mniejszych, nie obejdzie się nigdy bez ślizkiego dowcipu, a nawet luźnie umyślnie odznaczanej moralności; zdawałoby się że towarzystwo francuzkie w tych drobniactwach, spadło nagle z księżycą z gotowym już a całkiem odrębnym i ekscentrycznym kodeksem przyzwyczajenia. W niemieckich przeciwnie—myśl jakaś poważniejsza, najczęściej rodzinna, zawsze prawie szlachetna, prowadzi przez całość sztuki jak nieprzewodnia. Prawda, że są one za to ciężkie, niezgrabne, niedowcipne, a zawsze prawie sentymentalne i że nie połyskują tym świetnym dowcipem i niewyczerpanym komizmem co francuzkie. Dość byłoby tu przytoczyć na poparcie naszego twierdzenia, Benedixa, jednego z najpłodniejszych komedjopisarzy niemieckich. Z wyjątkiem kilku komedj grananych i na scenach polskich, inne nie dadzą się w żadnym razie, zastosować do naszych obyczajów i zwyczajów. Są one albo ckliwo-sentymentalne, albo wprost śmiertelnie nudne. Otóż komedjka p. t. „Miłość młodzieńcza” stanowi chwalebny wyjątek, bo też i autor należy do niewielu chwalebnych wyjątków.

Młodzintka, spieszczona dziewczynka zostająca pod opieką poczciwej a głuchej ciotki wraz ze swą kuzynką, oczekuje przybycia kuzyna, studenta uniwersytetu, który będąc jej pierwszą miłością, jest zarazem jej narzeczonym.

Student, bursz pospolity, hulaka, próżniak i tchórz, wnet się niepodoba rozmazanej główce panienci, którą nadto prześladowa blizki ich sąsiad, młody, bardzo miły i bardzo dowcipny człowiek. Prześladowa ją zaś swoimi nauczycielskimi przestrogi, w chwilach, gdy ją raz wyciąga z błota, drugi raz gdy podtrzymuje spadłą z konia. Rozdrażniona, zaniepokojona, niby go nienawidzi, a w rzeczywistości chociaż bezwiednie, kocha. Ciocia nie ma nie przeciw temu, ani ów student, który czuje większą sympatię do drugiej kuzynki. Nadzwyczaj wiele świeżości, wdzięku i rzetelnego dowcipu, towarzyszy słuchaczowi od początku do końca. I czegoż więcej trzeba? Niczego, bo i gra artystów była znakomitą w całym znaczeniu tego słowa. Panna Popiel owa pieszczotka, lubością, miłością i wdziękiem zachwyca widzów; pan Szymanowski (student) zwyczajną swoją brawurą komiczną pobudzał do śmiechu, a pan Tatarkiewicz bardzo zgrabnie i charakterystycznie odegrał rolę mentora-kochanka. Nawiasem wspomnieć trzeba, że p. Tatarkiewicz mógłby mieć świetną przyszłość w zawodzie dramatycznym, gdyby wszedł na właściwsze dla siebie pole, to jest w rolę charakterystycznych z lekkim odcieniem komiczności kochanków, i na amantów w lekkich dramatach. Pathos wysoko tragiczne, odrywa go od natury inuży fizycznie i intelektualnie. Pan Tatarkiewicz dał nam dowód w „Radcach pana Rady” w „Albinie” i w tej o to komedjce, że uwagi nasze oparte są na słusznej podstawie.

Obrazek sceniczny w jednym akcie wierszem pana Wacława Szymanowskiego, p. t. „Na ulicy” jest jednym z liczniejszego szeregu dramacików tego rodzaju, rozgrywających się na ulicy, w klasie najniższej a raczej najuboższej, tej, która często za dach ma mglistą nieba powłokę, za posłanie twarde kamień. Paweł był, o ile z treści widzieć można, niegdyś zamożniejszym rzemieślnikiem, dziś obciążony żoną i dziećmi, po-

grażony w największej nędzy, szuka pocieszenia w szynku, w którym właśnie przepił ostatniego trzygrosznika. Wyszedszy z niego na ulicę, oświeconą bladym światłem lampy, chce w najwyższej rozpacz — rzucić się na pierwszego lepszego przechodnia i zrabować go. Walczy długo ze sobą, gdy w tem nadchodzi gałganiarz z koszem ciężkim na plecach. W dyalogu tym, gałganiarz opowiada trud swój i móżół i biedę, ale się nie skarży na Opatrzność, bo ucziwie zarabia na bardzo skromny kawałek chleba. Paweł nawpół tylko zostaje przekonany, nawpół wzruszony oburzeniem gałganiarza, gdy ten posłyszał o zamiarze kradzieży. I gotów nanow spróbować siły swego ramienia, ale w tem słyhać Ave Maria. Głos kościelnego dzwonka przybija go na miejscu; wstrząśnięty do głębi, skruszony, żałujący, pada na kolana z okrzykiem: „Przebac mi Boże!” Niemożemy wymagać od tak drobnego obrazka, siły argumentacji lub może skuteczniejszej rady, aniżeli być może sama tylko modlitwa. — Wierzymy, że Paweł szczerze prosi Boga o przebaczenie za swój zamiar zbrodniczy, za swą apatyczność, niechęcią a choćby i nieumiejętą znaleźć pracy, ale wątpimy z tego z czegośmy go poznali, czy długo wytrwa w tem skruszeniu ducha. Autor kilkoma wierszami, (może w rozmowie z gałganiarzem który go mógł przykładem swoim zachęcić) mógł nas być zaspokoić, irzeklibyśmy: zadowolnić. Zadowolenie to tem się nam wydaje koniecznijszem, że w obrazku p. Szymanowskiego, tendencyjność jest wybitną z zasady. Jesteśmy nawet przekonani, że szeregowi takich obrazków przeznaczonych dla szerszej publiczności, można nadać cel utylitarno-moralny, tem więcej, że mistrzowska forma jaką włada p. Szymanowski, i doświadczenie jego sceniczne, ułatwiają mu to zadanie niepospolicie. Dla tego też i za utwór ten, podziękowała publiczność serdecznym oklaskiem: „Jedna z wielu”. — Chłopiec z bruku i inne, stanowiąc będą zebrane razem, jedną całość nietylko formalną ale i ideową.

Pan Królikowski w roli Pawła, nie poskąpił bogatych zasobów swego talentu, przyczyniając się i zewnętrzną charakterystyką niemało do wywarcia silnego wrażenia; — niemniej p. Stolpe z roli owego gałganiarza, stworzył typ miejscowy.

Edward Lubowski.

Z WIEDZY PRZYRODNICZEJ.

Obrazy świata pierwotnego.

(Dalszy ciąg).

W żadnym okresie historii ziemi, płazy nie odegrały tak ważnej roli jak w epoce jurasowej, — przyroda wysiliła się tworząc te potworne kształty jaszczur, które w następnych wiekach geologicznych, pozostawiły następców nie mogących dawać nam żadnego wyobrażenia o wielkości tych olbrzymów starożytnego świata.

Przejdźmy do nich, nie zrażając się łacińską terminologią, nie łatwą zaiste do zapamiętania. — Oto ich imiona chrzestne: *Ichthyosaurus*, *Plesiosaurus* i *Pterodactylus*.

Pierwszy z tych potworów, Jego Wielmożność *Ichthyosaurus*, cechował się ustrojem osobliwym, przedstawiał bowiem organa napotykaną tu i owdzie w jestestwach organicznych, lecz w żadnym tworze nie połączone razem w sposób tak potworny. W rzeczy samej, *ichthyosaurus* posiadał paszczę delfina, głowę jaszczurki, zęby krokodyla, kręgi ryby, kość piersiową kaczonosa i płetwy wieloryba. — Bayle daje przedziwne wyobrażenie o tym potworze, mówiąc: że był wielorybem jaszczurowym mórz pierwotnych. W rzeczy samej: było to zwierzę wyłącznie morskie, na pobrażach cielsko jego leżało bezwładne jak masa nieczuła.

Ichthyosaurus oddychał jak wieloryby przez nozdrza powietrzem, co zniewalało go wznosić się nad powierzchnię wód — opatrzony był też prawdopodobnie *pryskawkami*, przez które wyrzucał w atmosferę słupy wody połkniętej. — Rozmair tego zwierza, były rozmaite, odpowiednio do gatunku, największy z nich dochodził długością 35 stóp pol: — Nozdrza tego jaszczura morskiego były wielce zbliżone do

oczny, wszelako układ jego zębny przypominał krokodyla. — Szczęki potwora tworzyły paszczę ogromną, u niektórych gatunków uzbrojoną baterią stu ośmdziesięciu zębów! Wypada nam dodać, że zęby *ichthyosaura* zużyte w skutek jego żarłoczności, zastępowane były nowymi, gdyż przy nasadzie każdego zęba, znaleziono materiał kostny przygotowany do wytworu nowego.

Olbrzym mórz lejasowych przerażał zwłaszcza ogromnemi oczyma, przechodzącymi często objętością głowę ludzką. — Krąg złożony z blaszek kostnych otaczał do koła źrenicę, wysuwając naprzód rogówkę przezroczystą. — Ten przyrząd optyczny pozwalał zwierzęciu zbliżać lub oddalać obrazy przedmiotów. Oko jego było mikroskopem lub teleskopem, stosownie do woli potwora. — Blaszki kostne ochraniały przyrząd oczny od zbyt dużego ciśnienia, gdy zwierzę pozostawało w głębi wód, lub gdy uderzały nań fale morskie na powierzchni. — Oczy *ichthyosaura*, jak widzimy, przedstawiały doskonały przyrząd optyczny.

Szyja potwora podpieraa kolosalną czaszkę i łączyła się ze słupem pacierzowym, przeszło sto kręgów liczącym, które posługiwały zwierzęciu do szybkich ruchów w toniach morza odbywanych. — Żebra jego rozciągały się od głowy do miednicy. — W czasie ruchu *ichthyosaura*, członki jego przetwarzały się w płetwy, w ruchome wiosła, z których przednie były dwakroć większe od tylnych. — Ogon składał się z 80 lub 85 kręgów, i opatrzony był szerokimi i silnymi płetwami, ułożonemi pionowo jak u ryb, nie zaś poziomo jak u wielorybów. — Skóra tego olbrzyma prawdopodobnie nie była osłonięta żadną łuską, ani pancerzem, gdyż dotąd szczątków takich puklerzy nie znaleziono.

Czem się żywił ów jaszczur potworny? oto pytanie będące przez długi czas polem nadaremnych dociekań uczonych. Na szczęście w lejasie około Lyme-Regis, w Anglii, znaleziono skielec *ichthyosaura*, w którym pozostawały *koprolity*, czyli wydzielin. *Koprolity* zresztą w tej miejscowości tworzą ogromne skupienia. — Zbadanie ich wykryło rodzaj pożywienia tego zwierza, żyjącego przed tysiącem wieków. *Koprolity* zawierają w sobie kości i łuski ryb, oraz płazów rozmaitego gatunku, a pośród nich znajdujemy często kości samychże *ichthyosaurów*, co dowodzi że jaszczur żarłoczny lejasu żywił się nawet własnym gatunkiem. — Zwierz pokarmu tego rodzaju nie rozdrabniał w straszliwych zębach, lecz go łykał jak to czynią krokodyle.

Miss Marya Anning, której zawdzięcza nauka wiele odkryć posiadała w Lyme Regis swem miescie rodzinne, między innemi okazami, olbrzymi *koprolit* *ichthyosaura*. — Wstydlivość przecież niewiedząca wzbraniała angielsce okazywać go zwiedzającym. Zwykle też dopiero po skończonym przez nich przeglądzie zbiorów, lokaj przynosił półmisek zasłonięty serwetą, który stawiał na stole oczekiwując oddalenia się kobiet, poczem zdejmował serwetę pokrywającą ciekawy *koprolit*.

Niemniej osobliwym dziwotworem lejasu, jest *plesiosaurus* — posiadał on głowę jaszczurki, zęby krokodyla, szyję niesłychanie długą, przypominającą węza, żebra kameleona, kadłub i ogon czworonoga, i płetwy wieloryba. — Głowa *plesiosaury* przedstawiała połączone cechy tej części ciała u *ichthyosaura*, krokodyla i jaszczurki. — Szyja zawierała więcej kręgów niż u wielbłąda i żyraty, a nawet u łabędzia. Kadłub walcowaty i okrągły, zbliżony do żółwiego, nie był pokryty ani łuskami ani pancerzem, gdyż nie znajdujemy ich śladów w szczątkach tego zwierzęcia. — Piers, miednica, kości członków przednich i tylnych, tworzyły przyrząd posługujący *plesiosaurowi* do obniżania się w głębi wodnej, lub wypływania na jej powierzchnię, na podobieństwo *ichthyosaurów*, lub naszych wielorybów. — Nogi jego stanowiły płetwy potężniejsze od cechujących *ichthyosaura*. — Ogon krótki słabo rozwinięty służył za ster.

Był to zwierzę głównie morskie, wszelako długość jego szyi utrudzała mu ruchy w wodnym żywiole. — *Plesiosaurus* niekiedy przebywał na pobrażach, lecz i wówczas także z trudnością mógł się poruszać. Rozpatrując jego przewód oddychalny przychodzimy do wniosku, że płaz pływał na powierzchni wód, jak łabędzie i ptaki wodne. Wyginając ku tyłowi długą i giętą swą szyję, wysuwał nagle z szybkością strzały paszczę krępką uzbrojoną ostrymi zębami

chwycił ryby zbliżające się ku niemu, na które też czatował u brzegów wśród traw ukryty. — Plesiosaurus dochodził ogromem prawie ichthyosaura, długość jego ciała wynosiła przeszło 34 stóp polskich — istniały też gatunki nierównie mniejsze.

We wszech ogniwach życia organicznego, znachodźmy stopniowe rozwoje — jeden kształt przechodzi nieznacznie w drugi już doskonalszy. — Płetwy ryb dewońskich stają się wioślami u Ichthyosaurów i Plesiosaurów, a wiośla te znowu przechodzą w nogi błoniaste pterodaktylów i w skrzydła ptaków. Później występują członki przednie stawami opatrzone ssaków lądowych, a dochodząc pełnego rozwoju u małpy, tworzą w końcu ramię i rękę człowieka, narzędzie przedziwne pomyślane.

Trzecim reprezentantem dziwotworów jurasu jest *Pterodactylus*, czyli zwierzę o palcach przekształconych w skrzydła.

Ustrój tego zwierza wprowadził zrazu przyrodników w niemały kłopot. — Jedni upatrywali w nim ptaka, drudzy niedoperza, inni poczytywali go za płaza latającego w powietrzu. — W rzeczy samej pterodactylus kształtem głowy i długością szyi przypomina ptaka — ustrojem i ustosunkowaniem skrzydeł niedoperza — wreszcie małą głową i dziobem zbrojnym sześćdziesięciu ostrymi zębami, przedstawia pewne podobieństwo z płazami. Wszelako długi rząd straszliwych zębów, wąskie żebra, kształt miednicy, nie pozwalają w nim upatrywać ptaka. — Budowa głowy i skrzydeł pterodactyla, po bliższem porównaniu z odpowiednimi częściami u niedoperza, okazuje że zwierzę ten nie był wcale ssakiem latającym. — Szczegół o zębach ostrokręgowych jak u jaszczurki, żebra i miednica, oraz układ kości palcowych zbliżają go natomiast do płazów.

Pterodactylus rzeczywiście był płazem skrzydlatym wzrostu niewielkiego. — Najokazalsze jego gatunki nie przechodziły wzrostem łabędzia, najmniejsze dorównywały zaledwie wielkości krzykowi. Natomiast głowę miał ogromną w zestawieniu z resztą ciała — przysadka błoniasta łącząca jego palce z zewnętrznymi żebrami, była raczej spadochronem niż skrzydłem. — Rzucając się na zdobycz, pterodactylus posługiwał się tym spadochronem, miarkującym chyżość rzutu — zresztą zwierzę pętało po ziemi, jak jaszczurka, piał się na skały i spadał z nich rozpościerając owe dobroczynne skrzydła. — Pterodactylus kroczył na dwóch tylnych nogach, utrzymujących go w położeniu prostopadłym, w pochodzie tym składał skrzydła. — Najczęściej siadał na drzewach, lub pętało po wybrzeżach posługując się niekiedy przednimi członkami, jak to dziś czynią niedoperze. — Pokarm jego stanowiły ryby, na które rzucał się jak jaskółki morskie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZARYSY AZYI ŚRODKOWEJ.

(Przez N. Karazina).

(Dalszy ciąg).

Zmrok zapadał, powietrze przejęte było zapachem smolnym. Droga znikła przed naszymi oczyma. Bajtak ostrożnie jechał przodem, kierując się niedostrzeżonemu dla mnie, a dla niego tylko jednego widzialnym znakami. Konie lekko kroczyły naprzód, strzygąc uszami i odskakiwały przy każdym dźwięku niedającym się określić i nie wiadomo z kąd wychodzącym. Niejednokrotnie musieliśmy zatrzymywać się, zlać z koni i pieszo iść dalej; to znowu wszelkie strony uschłe gałęzie zagradzały drogę. Trzeba było je omijać co niezawsze z łatwością się udawało, niejednokrotnie musieliśmy używać toporów, a tymczasem coraz bardziej zmrok zapadał.

Kirgiz, mój służący, uparczywie trzymał się jednego i tego samego kierunku, czasem zaś zaczynał

śpiewanie smętnej pieśni i tylko od czasu do czasu oglądał się na mnie jakby wzrokiem zachęcał do pójścia w jego ślady i do zawierzenia, że on zna dokładnie miejscowość. Jednakże oczywiście było dla mnie, że Bajtak sam szedł naprzód, jedynie kierując się niepojętym instynktem, który najlepiej wykazuje się u psa uwięzionego o kilkaset wiorst od domu, a pomimo tego umiającego odnaleźć drogę do mieszkania ulubionego przez siebie pana.

Jeszcze około pół godziny posuwaliśmy się naprzód. Nakoniec ciemna noc zapadła. W olbrzymiej wysokości połyskiwał jeszcze nad nami wierzchołek skalisty, przegładając z po za chmury, lecz wkrótce i ten ciemnieć zaczął, a po upływie pięciu minut zniknął zupełnie i zarysy jego zlały się z dalekimi obłokami na widnokręgu. Noc w całym swym ponurym majestacie oblokła ziemię.

Myśmy jednak ciągle posuwali się naprzód, potykając się o kamienie, włosami zaczepiając o mokre iglastych drzew gałęzie i ściągając za uzdy ciężko oddychające i ostrożnie idące po drodze konie. — Gniadosz którego Bajtak prowadził za uzdę nagle rzucił się w stronę, a siwosz na jakim sam siedziałem także wstrząsł się cały i cofnął w tył. W odległości 10 sążni od nas zatrzeszczały gałęzie pod ciężkimi nogami i coś lekko uciekało przed nami; nagle w ciemności zabłyśły dwa czerwone punkciiki, słysząc się dało warczenie bojaźliwe i drugi zwierzę pomknął w ślady pierwszego.

Bajtak zapewnił mnie, że to były niedźwiedzie. W samej rzeczy w tych lasach mieszka wielka liczba tych zwierząt, ale była to chwila kiedy niedźwiedzie śpią w legowiskach, pojawienie się więc ich na drodze wielce mnie zdziwiło. — Chyba że ta para wystraszona została z legowiska przez jakiegoś niedoświadczonego myśliwca, jeszcze nie umiała odnaleźć dla siebie nowego schronienia.

Zdawało się że nigdy nie ujrzymy końca naszej wędrówki, poprostu graliśmy w ślepią babkę w tej nieprzebytej gestwinie. Nieraz już przychodziła mi do głowy myśl, żeby zatrzymać się, rozłożyć ogień, do którego materiału naokoło było aż nadto ułożyć się na nocleg, odłożywszy do jutra zamiar dostania się do siedlisk zimowych kozaków-drwali.

— Gospodarzu! a gospodarzu! rozległ się nagle głos mojego kirgiza i przerwał pasmo moich myśli o spoczynku.

— Coż się stało nowego? spytałem.

— Tam, ot w tym kierunku znajduje się kozak mówił Bajtak podchodząc ku mnie i wskazując ręką trochę w lewo. Baran się piecze, pies szczeka. Ej słyszysz! droga skończona.

Wyteżyłem słuch; w samej rzeczy z wielkiej odległości dochodziło zaledwie dosłyszalne, przerywane szczerkanie, lecz zapachu pieczonego barana uchwycić nie mogłem. Do tego jest zdolnym — pomyślałem — chyba tylko jeden i to mocno wygłodzony Kirgiz.

Posunęliśmy się naprzód, zmieniając trochę kierunek drogi. Trzeba było spuścić się w głąb wielkiego wąwozu. Olbrzymia skała występując z leśnej gestwy, zaledwie słabo zarysowywała swe kształty w pomroce nocnej. Szliśmy ku niej prosto.

Las zaczął się przerzedzać, z większą łatwością można było posuwać się naprzód, a nawet jechać konno. Wydało się więc, że pod nogami naszych zmęczonych koni ciągnie się jakaś ścieżynka. W kwadrans potem byliśmy już u podnóża wielkiego odłamu skalistego i zaledwie okryliśmy go, gdy z po za czarnych zarysów drzew nieruchomych ujrzeliśmy niewielkie czerwone ognisko. — Tym sposobem dobiliśmy się wreszcie do schronienia kozackiego i wkrótce potem siedzieliśmy około całej kupy rozpalonych do czerwoności węgla grzejąc zziębnięte i zmęczone członki w oczekiwaniu na kilka szklanek gorącej aromatycznej herbaty.

Mieszkanie kozackie, które zapewniło nam schronienie, albo raczej legowisko, albowiem mało co się różniło od niedźwiedziej nory, zaledwie pomieścić mogło pięciu ludzi. W pochyłej spadzistości skali-

stej wzniesionym był czworograniasty barak, pokryty szeregiem grubych smolnych tarcic, szczeliny między niemi były gęsto zapełnione mchem, a na to wszystko nasypało warstwę ziemi grubości półarszyna. Ściana przednia składała się z nieociosanych belek, wbitych jedna obok drugiej i także mających pomiędzy szczelinami mech. W jednej ze ścian były zrobione wąskie drzwi, obracające się na skórzanym przybitych gwoździach pasach. Cały sprzęt baraku składał się z drewnianych nar (siedzeń pod ścianą), dwóch lub trzech półek i z różnej broni palnej rozwieszanej po ścianach malowniczo na kołkach. W przeciwległej drzwiom ścianie było półokrągłe wgłębienie, służące za piec, z którego dym wychodził przez niewielki otwór, zrobiony w pułapie. Kiedyśmy przyjechali, nie było ognia w tym biednym piecu, a tylko rozkoszne dla nas pozostałości ogromnego ogniska iskrzyły się i tliły w odległości 10 sążni od drzwi wchodowych.

Tutaj mieszkała kompania z sześciu kozaków należących do stannicy nadeżdińskiej. Przez całe lato i część zimy Kozacy ci zajmują się rąbaniem drzewa, i dostawą jego do brzegów górskich potoków. Gałęzie starannie odrębują, a gołe kłocę świerkowe układają po brzegach w oczekiwaniu na topnienie śniegów na dalekich wierzchołkach. Od połowy maja zaczyna się odwilż i od tej chwili każdy dotąd zaledwie dostrzegalny strumień zmienia się w szumiący i bystro biegnący potok. — W tym to czasie przygotowane uprzednio drzewa spychają się w wodę i spławiają na dół, a napowrót chwytane i wyciągane bywają na ląd w miejscach, z których już jest łatwy dalszy przewóz drzewa kołami lub wołami. Wszystkie kłocę mają cechy z góry porobione, dla uniknięcia sporów przy ich wydobywaniu. Widok górskiego potoku podczas spławu drzewa jest zachwycający. Raz byłem obecny przy tem i napałałem się uroczem zjawiskiem. Olbrzymie drzewa pędzone przez pieniącą się wodę, spuszczone na dół uderzają o siebie; odgłos ten połączony z szmerem wody odbijając się w górach skalistych, słysząc się daje i w odległości 10 wiorst, podobny do dalekich, głuchych grzmotów piorunu. Pomimo, że woda znaczną część pracy bierze na siebie, dosyć jej jeszcze przypada na człowieka. Często jakaś nieprzewidziana siła zatrzyma nagle w drodze dwa lub trzy kłocę, do nich łączą się inne; a jakich to ogromnych wysiłków potrzeba, żeby znowu dalej popchnąć tę masę drzew i uchronić ją od podobnych zatrzymań się w dalszej drodze! Niebezpieczna to walka garści ludzi z siłą potoków, z ciężarem grubych kłoców z niewygodnymi i prawie nieprzebytymi ścieżkami brzeżnymi. Ani jedna wiosna nie przeminie bez kilku nieszczęśliwych wypadków z tej przyczyny. Opowiedziano mi nieszczęśliwy przypadek, który zdarzył się niedawno. Dwóch Kałmyków pracowało z pomocą bosaków nad ściśniętymi w wązkim przejściu kłocami; nagle jeden z nich poślizgnął się spadł i w rozpacz uchwycił za odzież swego towarzysza; ten ostatni również nie był w stanie utrzymać równowagi na mokrym i śliskim kłocu, obaj spadli w wodę. Nie zdążyli jeszcze wydostać się na powrót na brzeg, gdy siła wody zerwała groble, cała masa kłoców spłynęła i zdruzgotała nieszczęśliwych Kałmyków. Dopiero w dwa dni później odnaleziono ich okaleczone i zupełnie prawie zmiażdżone trupy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OD WYDAWCY.

Dla prenumeratorów *Bluszcza* z dodaniem dzieł *Kraszewskiego* do Nr. 14 dołączony został tom LIV ogólnego zbioru, zawierający w sobie tom 4-ty powieści pod tytułem: „*Komedjanci*.”

Do dzisiejszego numeru „*Bluszcza*” dołącza się dalszy ciąg powieści *Middlemarch* oraz *Kamiennej Woli*.

TREŚĆ: *Antygona Sofoklesa*, (studium), przez El-y. — *Zarnica*, (dalszy ciąg), powieść bułgarska społeczna, przez Teod. Tom. Jeża. — *Korespondencya zagraniczna*, przez B. L. — *Kobieta i wymiar kary w społeczeństwie*, Prelekcyja, (dalszy ciąg), przez Edwarda Prądzyńskiego. — *Przegląd teatralny*, przez Edwarda Lubowskiego. — *Z wiedzy przyrodniczej*, (dalszy ciąg), przez Wincen. Niewiadomskiego. — *Zarysy Azji środkowej*, (dalszy ciąg), przez N. Karazina.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr. 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою 2 (14) Апреля 1874 г.